Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 6.

dnia 9. Stycznia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom I.

Errare humanum est.

(Ciąg dalszy).

Z uczuciem, którego opisać nie można, w którem radość mięszała się z dziwną jakąś tęsknotą i pietyzmem dla osoby nieznanej, a jednak tak drogiej sercu syna, wziął Ryszard do ręki list nieboszki matki. Chwilę przypatrywał mu się ze łzami w oczach, poczem do ust go przycisnąwszy gorąco ucałował. Dopiero gdy się trochę uspokoił, otworzył go i czytał.

„Synu mój najukochańszy! Ćwierć wieku upłynie, i na mogile mojej trawa nie raz się zazieleni, zanim moje dziecię najdroższe! list ten znajdzie się w twoich rękach. Czytając go pomyśl, że go nie ta pisała, której życie zawdzięczasz, zasługa to bowiem najmniejsza, lecz ta, która tylko dla tego życia swego żałowała i spokojnie umrzeć nie mogła, że na tym świecie, jak na morzu rozhukanem, zostawiała łódkę swego syna bez sternika. Jam ci go chciała zastąpić, wszystkie moje myśli pragnienia jedynie ku temu były skierowane, iżbyś pod mojem okiem wzrastał na prawego członka rodziny, społeczeństwa i kraju! Bóg atoli nie chciał, by mnie twoja boleść smuciła, a twoja radość weseliła... Dziś pisklę jednoroczne, chociaż tak cudownie do mnie się uśmiechasz, muszę cię opuścić i odtąd tylko jako duch będę nad tobą krążyła, chroniąc cię, jeźli Stwórca pozwoli, od nieszczęść i zboczeń!“

„Synu mój najukochańszy! W życiu nie raz słyszałam, że człowiek umierając, ma jakby jasnowidzenie: wtedy dalekie i nieznane widnokręgi przed nim się roztwierają; to co było ciemne, tajemnicze, robi się jasnem i czytelnem. Miesiąc temu, spisując testament, postawiłam w nim dla ciebie różne warunki, bo przyznam ci się synu, żem się bała, aby krewkość twego rodu dalej cię nie zawiodła, niżbyś może tego sam pragnął. Bałam się również. żebyś nie wzrósł na wzór owych pasożytów, które same nie pracując, karmią się cudzemi sokami. Bałam się nakoniec, abyś przedwcześnie, zanim dojdziesz do rozumu i do zupełnej w życiu równowagi, nie poślubił kobiety, której usposobienie i charakter nie były by może zgodne z twojemi... Dziś jednak widzę, że wszystkie te obawy były płonne... Syn mój i bez tych zastrzeżeń był by takim, jakim mieć go pragnie matka umierająca. Błogosławię ci więc dziecię najdroższe!“

„A teraz jakież rady mam ci dać, ja, kobieta nieudolna i na życia schyłku, tobie, mężczyźnie rozumnemu, przed którym dopiero świat się roztwiera? Nie rozumem więc będę do ciebie przemawiała, lecz sercem, a ty mój Synu najdroższy, zachowaj nawzajem w sercu każde słowo moje.“

„Trwaj w wierze twoich ojców, nic bowiem dla mnie nie było okropniejszego, nad widok tych ludzi, którzy mądrość i niewiarę poczytując za synonimy. naiwnie się chełpili, że w nic nie wierzą. Zaiste! patrząc na nich, nie wiedziałem, czy się oburzać, czy się raczej nad nimi litować. Biedni myśleli, że w niewierze wszelką prawdę posiedli, tymczasem prawda jest tylko u Boga... To też dąż do niej moje dziecię, a dąż przez miłość! Przez miłość dla ojca, któregoś kochać, czcić i słuchać powinien; przez miłość dla społeczeństwa, wśród którego żyć będziesz, przez miłość dla kraju, którego jesteś

synem! A drogą miłości dążąc do prawdy, głoś ją zawsze i wszędzie, bo gdy by brakło tych wybranych, którzy z kłamstwem walczą, na świecie zapanowałyby ciemności i szatan pychy utrwaliłby swoję władzę!“

„Kochaj więc Boga, kraj i ludzi, ale po Bogu i kraju kochaj tę najgoręcej, którą da ci za życia towarzyszkę. Ty nie wiesz moje dziecię, jakie obowiązki mężczyzna przyjmuje niewiastę poślubiając. Ona chcąc w nim urzeczywistnić wszystkie swoje sny, marzenia i zamiary, pragnie, żeby on był dla niej celem najwyższym i aby ta rodzina, która się do koła nich utworzy, była ostatecznem jej życia zadaniem! Chociaż wśród chaosu pojęć wstrząsających dziś duszą ludzkości, niektóre kobiety, kierując się wyobraźnią rozbujałą, zaczęły wzdychać do innych celów, mimo to ja wierzę, że celem jedynym, ostatecznym i najwyższym, jest dla kobiety mąż i rodzina. Lecz jeźli ten cel ma jej wszystko inne zastąpić, jeźli dla niego ma się wyrzec życia na szerokiej świata widowni, i być kapłanką szczupłego grona rodzinnego, to niechże nawzajem mąż będzie istotnie dla niej tym ideałem, o którym zamłodu marzyła, niech w jej serce kochające nie wlewa niewiary, niech jej duszy, którą ona ma obdzielić wszystkie dzieci swoje, nie łamie i nie depce! Bo i cóżby jej zostało, gdyby się na nim zawiodła? Czyż nie była by wtedy najnędzniejszą wśród najniższych stworzeń ziemi? Wtedy chyba jedna śmierć mogła by jej przynieść ulgę i szczęście!“

„Oto moje dziecię najdroższe, co ci zostawia twoja matka w godzinie swego skonu. Za chwilę ulecę z tej ziemi, ale i za ćwierć wieku jeszcze będę nad tobą krążyła, i jeźli tylko słowa moje w sercu zachowasz, duch mój radować się będzie i Bóg cię na drogę życia pobłogosławi! Twoja matka — Jadwiga. Dnia 25. marca 1850 r.“

Ryszard czytając miał oczy łez pełne, a gdy skończył, znowu list ucałował i mimowoli spojrzał dokoła, jakby spodziewał się matkę zobaczyć. I nie zawiódł się w oczekiwaniu... Z portretu w ramach poczernionych, który wisiał między oknami, spoglądała ku niemu łagodnie i słodko, ciesząc się syna widokiem... Pełen uniesienia padł na kolana i złożył ręce jak przed świętym obrazem.

Ojciec, który cały ten czas spędził w drugim pokoju, odchylił teraz drzwi ostrożnie, a ujrzawszy syna klęczącego, wszedł na palcach i obok niego rzucił się na posadzkę. Po chwili złączeni wspólnym uściskiem, cicho płakali...

ROZDZIAŁ VI.

ONA I ON.

Słońce zza góry twarz palącą wychyliwszy, przedarło gałęzie kwitnącego jaśminu, i przez okno firanką przysłonięte, zajrzało do Rózi pokoiku. Spała jeszcze na bieluchnej pościeli, twarzą ku górze zwróconą. Od powiek zamkniętych, na rumiane jagody długa rzęsa opada; przez usta różowe, i jakby tylko na to stworzone, by całowały i były całowane, rwie się oddech cichy; włos bujny, ciężki, połyskujący, spływa na ramię obnażone, z kąd przez krawędź łóżka kaskadą na dywan opada; jedna ręka spoczywa na pościeli, drugą na piersiach trzyma. Śni o czemś rozkosznem, bo na całej twarzy błogość rozlana, i uśmiech nieznaczny usta w około obiega.

Natrętne słońce zbudziło przy oknie kanarki, które zaświegotały, poczem jak na komendę dało się słyszeć silne do drzwi drapanie. To *Neptun*, który przy koniach sypiał, zastawszy od przedpokoju drzwi otwarte, tędy bowiem Marysia miała rozkaz codzień rano go wpuszczać, dobywał się do swojej pani. Ona jeszcze spała, chwytając pamięcią ostatnie snu obrazy, które przed nią w mroczną dal uciekały, lecz w tem kanarki głośniej zaświegotały, i *Neptun* zniecierpliwiony pod drzwiami zamruczał.

Zbudziła się i na łóżku usiadła. Senne widziadła pierzchły spłoszone, w sypialni zupełnie się rozjaśniło, przez drzwi odchylone słychać było pantofle i kroki ociężałe... Wyskoczyła z łóżka, w okamgnieniu przywdziała ranny szlafroczek, włosy szybko związała, i przymknąwszy drzwi od pokoju matki, wpuściła *Neptuna*. Pies wszedł uradowany, ogonem wymachując, uszy kładł po sobie i zęby pokazywał, a oczy śmiały mu się jak człowiekowi.

Pogłaskała go po głowie, potem rozsunąwszy firanki, stanęła przed klatką z kanarkami. Złote ptaszęta na jej widok zbliżyły się do drucików, a wyciągnąwszy ku niej dzióbki różowe, cichem świegotem upominały się o śniadanie.

— Zaraz moje drogie, zaraz dostaniecie... Oto cukier, siemię i woda, a przy kawie dam wam jeszcze bułeczki w śmietance umoczonej. Tylko

cicho bądźcie, bo jak mama was usłyszy, gotowa się rozgniewać.

Codzień tak przemawiała do małych przyjaciół. i codzień sprawdzały się jej przepowiednie. Kanarki wykąpawszy się w wodzie, zaczynały śpiewać w niebogłosy, co słysząc pani Sara, złorzeczyła wszystkim ptakom na świecie. Dziś wstawszy w gorszym niż zwykle humorze, a nie mogąc doczekać się końca muzyki, odchyliła nawet drzwi od pokoju córki, lecz w tejże chwili zatrzasnęła je za sobą; wypadek bowiem zrządził, że *Neptun*, który pod drzwiami się ułożył, trącony niespodziewanie, warknął, co usłyszawszy pani domu, uznała za właściwe cofnąć się do swoich apartamentów. Dopiero gdy Rózia uczesała się i ubrała, dał się słyszeć w drugim pokoju, gruby głos matki:

— *Rojse! Kim sugen bruche* [1]).

— Zaraz mamo, tylko kwiatki podleję.

W pokoiku naszej młodej przyjaciółki były zatem ptaki, pies, kwiaty, nareszcie czystość wzorowa i jakaś woń nieokreślona, która w powietrzu drzała. Było więc wszystko, bez czego ludzie dobrego smaku i w cywilizacji europejskiej wychowani, obejść się nie mogą, a czego na wskróś realny duch rasy semickiej ani zrozumieć nie umie.

Matka nienawidziała tych córki upodobań, i gdyby nie ojciec, który nad życie jedynaczkę kochając, na wszystko jej pozwalał, byłaby dawno kanarki, psa i kwiaty sprzedała. Ulegając jednak woli męża, rada nie rada musiała być pobłażliwą; za to jakby dla ulżenia sobie, córką, która nie powodowała się jej woli, prawie całkiem się nie zajmowała. Ich stosunki kończyły się na wspólnem odmawianiu modlitwy i krótkich rozmowach przy stole.

Różę szczerze to bolało; chciała nawet zbliżyć się do matki, aby serdeczniejszemi węzłami jej serce ze swoim związać, niestety! wszelkie usiłowania w tym kierunku były daremne. Matka nie rozumiała egzaltacji córki, córka nie pojmowała realizmu matki. Rózia Stern mimo cery białej, miała w swym charakterze za wiele gorąca; Sara Stern mimo ciemnej cery, miała w swym charakterze za wiele chłodu. Na oko zdawało się, że córka to lód, matka to ogień — tymczasem w rzeczywistości było wręcz przeciwnie.

Widząc że rodzice jej nie rozumieją, otoczyła się żyjącemi istotami i kwiatami. Ilekroć czas jej na to pozwalał, a nikt chory jej opieki nie potrzebował, cofała się do swojej świątyni, którą była jej sypialnia, i tam bądź spisywała swoje wrażenia w pamiętniku, bądź wziąwszy książkę długo czytała. A książek miała zbiór wcale pokaźny; wszystkie zaś były polskie i doborowe.

Tak więc pokoik Rózi był istną oazą wśród piasków pustyni. I kto wie, czy w końcu nie byłaby zapomniała tych wrażeń, które z pensjonatu wyniosła, a które robiły ją tak odmienną w tym świecie na wskróś realnym, gdyby nie bliskość pana Henryka, nie służba, która z wyjątkiem kucharki-żydówki była cała chrześcijańska i nie lud we wsi mieszkający. Gdy w pokoiku było jej nadto smutno i duszno, szukała garbuska, ten bowiem umiał jej zawsze coś nowego powiedzieć, a ilekroć nie mogła go znaleźć wybiegała na przechadzkę. I wtedy stanąwszy przed chatą pierwszego lepszego włościanina, bawiła się z dziećmi, rozmawiała z ich rodzicami, często się śmiała, poczem na duchu wzmocniona do domu wracała. Oto jaki na nią wywarły wpływ te lata, które wśród młodzi chrześcijańskiej spędziła. Czy rodzice, przewidując coś podobnego, byliby ją na pensję wysłali?

Po modlitwie i śniadaniu, Rózia wyjrzawszy przez okno, zobaczyła przy bramie ojca i garbusa. Coś żywo z sobą rozmawiali. Pierwszy nawet głos podniósł, jakby krzyczał.

Najprostsze nieporozumienie było tego przyczyną. Garbus z powrotem z poczty zastawszy Sterna w bramie, podał mu dzienniki i listy mówiąc:

— Złe dziś mamy nowiny.

— No, co takiego?

— W niektórych powiatach pojawiła się cholera.

Stern jak stał, skoczył w tył o trzy kroki i pobladł okropnie. Z ręki posypały mu się papiery na ziemię.

— Co... co pan mówisz? — ledwie z siebie wykrztusił.

Ach! przepraszam — garbus się poprawił — gdzie ja też głowę podziałem.! Cholera w Persji wybuchła, w Galicji zaś pojawił się tylko w skutek ciężkiego przednowku tyfus głodowy. Przeczytawszy naraz obie te wiadomości, w głowie mi się pomięszały.

— Że też pan taki nieuważny! — Stern odzyskając odwagę zawołał. — Jak można było

[1]) Róziu! chodź się modlić.

gadać takie rzeczy paskudne! Pfuj! z taką zamianą... No, tyfus także niedobry, ale zawsze nie to co tamta słabość. Niech pan na drugi raz więcej uważa, a teraz proszę to pozbierać.

To powiedziawszy, pokazał sekretarzowi papiery na ziemi leżące. Schylił się biedak, chociaż mu było niewygodnie, i zbierać zaczął. Żyd przyszedł tymczasem całkiem do siebie.

— Chwała Bogu, że tego moja żona nie słyszała. No Rózia, nic byłaby się przestraszyła, ona taka odważna, taki z niej kozak, że aż mnie to samego przestrasza! Ale moja biedna żona... Pfuj panie Dobrzyński, niech pan takich rzeczy więcej nie robi.

Rózia która usłyszwszy podniesiony głos ojca zdjęta ciekawością okienko otworzyła, nie mogła zrozumieć, dla czego on się tak przestraszył i czemu ani raz nie wymówił słowa *cholera*.

Ona przeciwnie byłaby je bez bojaźni zaraz powtórzyła.

— Niech pan dziś koniecznie pójdzie do starego Gozdawy — Stern po chwili dalej mówił — ale tak niby przypadkiem, spacerkiem, żeby się nie domyślał, że to ja pana przysyłam, i niech mu pan powie od siebie, że czas skończyć ten interes, bo jak bankowi choć jednej raty nie zapłaci, Starawieś z pewnością pójdzie na licytację, a wtedy i święty Boże nie pomoże. Ja od moich warunków nie mogę odstąpić... Przy tej sposobności może go pan zapewnić, że ja jestem jego wielkim przyjacielem, i wszystko co będę mógł dla niego uczynię... No, no, już ja wiem, że pan to dobrze pokieruje, bo przecie pan ma głowę nie od parady, a zresztą za co ja pana tak drogo płacę?

Nigdy jeszcze garbus nie wyglądał tak strasznie jak teraz. Z twarzy wszystka krew gdzieś do serca mu uciekła, usta posiniały, oczy zrobiły się malutkie jak dwie iskierki w popiele lśniące, na czole wystąpił pot zimny, całem ciałem wstrząsały dreszcze nerwowe. Już chciał coś powiedzieć, gdy wtem wzrok podnosząc ku Sternowi, zobaczył Różę przez okno patrzącą... Słyszała wszystko... Była smutna, bo współczuła jego niedolę. Jemu się nawet zdawało, że żałośnem spojrzeniem za ojca go przepraszała...

Chwilkę stał jak niemy; potem głęboko odetchnął, i — Dobrze wielmożny panie — głucho odpowiedział.

W pół godziny później, Rózia spiesząc do swoich pacjentów, zobaczyła garbusa jak pod lipą stał zadumany. Zbliżyła się do niego i rękę mu podając rzekła:

— Dziękuję ci panie Henryku, żeś dziś słuszny gniew pochamował... Mój ojciec nigdy tak źle nie myśli, jak mówi, trzeba mu więc przebaczyć... Choćby chciał, nie umie się odpowiednio wysłowić...

— Ach! panno Rózio! — zawołał biedny kaleka, jej rękę z uniesieniem do ust przyciskając — dla ciebie, ja mu wszystko przebaczę!

Wypowiedział to takim tonem, że dziewczę pełne obawy rękę cofnęło i krokiem przyspieszonym pobiegło w głąb alei.

Tegoż dnia popołudniu, garbus udał się do pana Gozdawy.

Wieś, w której stał pałac Sterna, nazywała się Wolą Ludaczowską; mieszkańcy jednak tak miejscowi, jak okoliczni, nie lubiąc nazwisk złożonych nazywali ją krócej Wulką. Ciągnęła się ona językiem wzdłuż małego strumyczka, który ku rzece pomykał, a że w tym samym kierunku i Starawieś wysunęła ostatnie swoje zagrody, więc polnemi idąc ścieżkami, z jednej do drugiej osady prędko się przychodziło. Pola i lasy obydwu posiadłości graniczyły z sobą.

Ścieszkami szło się nawet przyjemniej, na nich bowiem nigdy kurzu nie było i tylko podczas wielkich deszczów wypadało główną drogę obierać. Powodem tego był ów mały strumyczek, który przez wieś płynął, a który wezbrawszy, często gęsto kładkę unosił i pod Wulkę dość szeroko się rozlewał.

Tuż za kładką, utworzoną z długiej jodły, opartej na dwóch brzegach, skutkiem czego idący doznawał w samym środku niemiłego kołysania, widać było mały dworek z ogródkiem, w którym przeważnie rosły dzikie grusze i jabłonie. Była to niegdyś chata włościańska, którą nabył jeden z dawniejszych ekonomów pana Gozdawy, człowiek nierzetelny i przebiegły. Straciwszy posadę, na której dosyć grosza uciułał, wyporządził chatę od góry do dołu, i z córką w niej zamieszkał. Odtąd nazywano ją „Ekonomówką“. Wydając córkę za nauczyciela z Ludaczowa, dał mu w posagu tę posiadłość. Zięć nie mogąc sam w niej mieszkać, do miasta bowiem, zwłaszcza w zimie, miałby ztąd za daleko, zabrał teścia do siebie, a Ekonomówkę zaczął w dzierżawę puszczać. Pole do niej nale-

żące dzierżawili tedy chłopi, dom zaś z ogrodem najmywali najczęściej goście ze stolicy, którzy w lecie przyjeżdżali w te strony na rzeczne kąpiele. W lecie zatem dom rzadko był pusty; za to w zimie z jego komina nigdy dym nie wylatywał.

Gdy garbus kładkę przeszedłszy, zbliżył się do Ekonomówki. z ogrodu wyszedł mężczyzna z czarną brodą, i we furcie stanął. Garbus szedł dalej zamyślony uwagi nań nie zwracając; dopiero gdy go mijał, usłyszał głos donośny:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

Garbus stanął i spojrzawszy na mówiącego odpowiedział:

— Na wieki wieków!

Nie potrzebował mu się długo przypatrywać, aby w nim poznać nieznajomego z pod kaplicy, którego sam widok Sterna niedawno tak przeraził. Chciał się zatrzymać, wszcząć z nim rozmowę, on jednak skinąwszy głową poważnie, otworzył furtę i wrócił do ogrodu.

Garbus był niezmiernie zaciekawiony. Co to za człowiek? Czy na kąpiele przyjechał, czy w jakim innym celu? Stern prawdopodobnie zna go, skoro o niego pytał, a może go tylko uderzyło nieznajomego śmiałe spojrzenie, którem pod kaplicą na wskróś go świdrował. Cokolwiek bądź, Henryk Dobrzyński należał do ludzi zbyt roztropnych, nawet przebiegłych, by to spotkanie mógł puścić w niepamięć. Idąc, nie raz się jeszcze oglądnął, ażali nieznajomego nie zobaczy, a gdy go to zawiodło, wstępując na wschody dworu w Starejwsi powiedział sobie, że na razie Sternowi o tem ani wspomni, lecz sam przy najbliższej sposobności będzie się starał poznać mieszkańca Ekonomówki, aby się dowiedzieć, czy w te strony sprowadziły go rzeczne kąpiele czy też inne sprawy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Abel mówił dalej, drząc cały.

— Powiedziałem ci mój ojcze, że będę może zmuszony do trzeciego pojedynku.

— A! Zkąd że się bierze ten trzeci przeciwnik?

— Jest nim młody człowiek w moim wieku, którego nie znam, którego zaledwie dostrzegłem w chwili, gdy uciekał z domu przeklętego w chwili, gdym do niego wstępował.

Tym razem obojętność pana de Moranes zachwiała się; zawrzał gniewem:

— Co to znaczy? — zapytał.

— To znaczy, że pan de Rosey, należący jak się zdaje do rodziny zacnej, poznał siostrę moją na balu w kasynie, podobała mu się, pokochał ją i pozyskał jej wzajemność.

— Intryga! — krzyknął p. de Moranes. — Czyżby panna Dumesnil zawiodła do tego stopnia moje zaufanie! Ta idyla zawiązała się w oczach owej niezmordowanej czytelniczki romansów.

— Niema tu intrygi żadnej, ani romansu. To naturalna sympatja dwóch dusz młodych i prawych.

P. de Moranes westchnął boleśnie i ironicznie a przerywając Ablowi szepnął ironicznie:

— O prawość i czystość kobieca!

Pomyślał chwilkę i mówił twardo:

— Czy nie mówiłeś mi, że ów kochanek wyjeżdżał z tąd dziś wieczorem? Czy to pierwszy raz był tutaj?

— Pierwszy raz.

— I tego za wiele. Wypędzę pannę Dumesnil. Co zaś do siostry...

— Strzeż się mój ojcze, abyś jej nie zabił!

Te słowa wydobyły się z ust Abla, zanim sobie przypomniał, żeby wyrzutem być mogły. Spojrzał na sufit nie śmiejąc spojrzeć na ojca.

P. de Moranes zadrżał, spuścił oczy przymknięte i mówił dalej wahająco, jak człowiek myślący o czem innem.

— Czemu uciekał za twoim przybyciem?

— O to zapytam go jutro... jeżeli się tego od ciebie dziś nie dowiem.

— Odemnie?

— Tak, od ciebie.

Abel się zatrzymał, oczekując odpowiedzi od p. de Moranes. Gdy zaś tenże milczał, Abel mówił dalej:

— Pan de Rosey przyjechał Blankę pożegnać. Jego rodzina nie pozwala mu kochać panny de Moranes, a tem mniej aby się z nią żenić. Abel mówił to zwolna zimno na pozór, nie patrząc na ojca. Baron cofnął się i stał w cieniu; mógł więc lepiej widzieć syna, niż ten jego. Oparty o biurko, nerwowo pocierał palcami usta, ażeby je zakryć. Nie odpowiedział na powyższe słowa syna, ani chciał ich zrozumieć.

Abel znowu musiał mówić dalej:

— Moja siostra spodziewała się tego pożegnania... Wybacz ojcze, że nacieram ale... Blanka umiera z po-

wodu tajemnicy, za którą się jutro bić będę, która i mnie zabije... jeżeli mi jej nie wytłumaczysz.

Pot zimny spływał po czole Abla na oczy, z których jak łzy ociekał — chociaż te oczy suche były.

P. de Moranes słuchał z dziką ciekawością ostatnich słów syna.

Gdy Abel zamilkł, nagle pochwycił głowę oburącz i tak pozostał przez chwilę, potem podnosząc ją z wysileniem i odrywając ręce, jakby maskę odrywał, zbliżył się żywo do Abla blady z oczami pałającemi i drżącemi usty!

— Ty mnie posądzasz, wszak tak? — przemówił głucho.

— Mój ojcze!

— Twoja siostra posądza mnie także? Opowiedziano jej bajkę; słyszała zapewne plotki głupie!...

— Ona widziała!... wybełkotał Abel.

P. de Moranes cofnął się, a zbliżając się znów krokiem pewniejszym do syna:

— Co widziała? — zapytał. — Przypuszczała, ale czy widziała ową prawdę, której nie powinna znać młoda dziewczyna, tę, o której nie głoszę światu, czy tę prawdę wiedziała? A ty, chcesz ją także poznać?

— Chcę — odpowiedział Abel odważnie.

— Biedne dziecko, spodziewałem się tego że kiedyś staniesz się powiernikiem i sędzią moim; ale miałem nadzieję, że to się stanie później, wówczas gdy cię tyle boleć nie będzie mogło.

— Jestem silny, ojcze.

— O! to siła młodości, która wypręża się, aby winnych uniewinnić, a jest surową dla sędziego. Byłbym chciał ukryć przed tobą tę tajemnicę... wiedziałem dobrze, że Blanka widziała... coś z tego o czem ci opowiadała.

— Nic mi nie opowiadała.

— Powiedziała ci jednak — odparł zgrzytając zębami p. de Moranes — że jestem mordercą.

Przyznaj, że ci to powiedziała!

— Przyznaję.

— A więc powiedziała ci prawdę. Ale to, czego ona nie wie, o tem dowiesz się ty, bo jesteś mężczyzną, że zabójstwo było karą sprawiedliwości. Jeżeli uderzyłem, to aby ukarać; jeżeli mój gniew był niepohamowany, to dla tego, że obraza była krwawą. Zbrodnią popełniono w moim domu, rozumiesz mnie mój synu? Nie ja byłem jej powodem. Wypędziłem ją gwałtownie; jak ją odkryłem. Byłem sędzią i katem. Kat nie ma sumienia, a jeżeli od lat dwunastu sumienie sędziego cierpi, nie są to wyrzuty sumienia, lecz przestrach, który jeszcze dziś je ogarnia na myśl, że to była powinność sędziego. Ty mi miałeś opowiedzieć o twoich studjach, ja ci będę mówił o moich udręczeniach, siadaj i słuchaj.

VII.

Pan de Moranes był w istocie człowiekiem wyższym w swoim rodzaju; ale nauka ma to do siebie, że nie tak łatwo jak literatura, sztuki piękne lub filozofja wyciska na człowieku piętno próżności.

Był zatem p. de Moranes skromnym w całem swojem wzięciu, jak był pospolitej twarzy.

Od chwili jednak gdy powiedział synowi, żeby go słuchał, zaledwie postanowił odkryć tajniki swego życia, zawody, jakich doznał, jakiś majestat niezwykły, bojaźń złączona z boleścią, że odkryć może za wiele nieubłaganemu świadkowi, rozlały się na jego twarzy, robiąc go prawie pięknym.

Stał ciągle, skromny jak zwykle, a wyraz niezwykłej owej dobroci powrócił na jego usta, zanim zaczął wyznanie, świadcząc całą swą postawą, że oschłość nauki nie zatarła jednak w nim uczuć wspólnych wszystkim ludziom.

— Tak — powiedział do syna po chwili namysłu — myślałem zawsze, że ojcowie mają ową godzinę fatalną w życiu, w której muszą stanąć przed sądem dzieci i czekać ich wyroku. Czyż w nauce nie spotykamy codziennie, że uczeń przewyższa mistrza i zachęca go do dalszej nauki? Pewien nowożytny utopista powiedział wielkie słowo: „Poświęcony zabija poświęcającego się“. Ja gotów jestem zabić się sam, aby nie być zabitym przez ciebie; chcę ci powiedzieć, że gotów jestem przedstawić ci się za głupca, którego żałować będziesz bylem nie zasłużył na pogardę lub nienawiść jednej istoty, od której szanowanym być pragnę.

Abel poruszył głową z uległością przeczącą.

— Czekaj! nie spiesz się z przebaczeniem! — mówił p. de Moranes porywczo. — Ja umyślnie opóźniałem tę chwilę. Dla tego to, równie jak dla nauki wysłałem cię do Meksyku. Pomimo, że zagłębiam się w odczytywaniu hieroglifów, mam jednak chwile buntu natury ludzkiej i myślę o żywych. Nieraz zabierałem się do przywołania cię, pisania do ciebie; nie stań się zbyt uczonym, byś nie przestał być moim synem, bo potrzeba mi łez czyichsić, coby był kością z moich kości, bo ja płakać już nie umiem. Litość nad twoją młodością powstrzymała mnie; wstydziłem się zaś owej czułej pogardy, która budziła we mnie uczucie ojcowskie, kosztem serca syna. Zachęcałem cię zatem do pracy, zagłębiałem się w mojej i czekałem. Wiedziałem dobrze, że to, co się stało, jest nieuniknionem, że ktokolwiek bądź zapyta cię, jak twoja matka umarła; że ty sam będziesz chciał dowiedzieć się, czemu tak nagle posiadłość w Ardenach opuściłem, aby przenieść się tu, gdzie ani przyjaciół, ani znajomych nawet nie mam. Smutek twej siostry, przerażał mnie więcej niż to okazywałem, gdy zaś sprowadzałem doktorów, a ci zaspokajali mnie, nie potrzebowałem ich wyjaśnień, by wiedzieć, że Blanki chorobą jest wspomnienie... Ale jakże miałem ją uleczyć? Nie śmiałem jej pytać, wolałem wydawać się jej zimnym egoistą; pozwolić jej zobojętnieć i przywiązać się do kogo innego, niż wystawić ją na próbę, przez którą byłbym może jej współczucie pozyskał, która byłaby jednak w niej zwarzyła wszelkie uczucie szacunku i miłości.

Abel pochłaniał wyrazy ojca; gotów był powstać, wyciągnąć doń ręce gdy słyszał jak owe słowa „szacunku i miłości“ drżąco wymawiał. To czułe melodyjne westchnienie wychodzące z ust uczonego miało niezwykłą boską harmonję, która wzruszała serce młodego człowieka.

— Nie byłem dosyć przezornym — mówił dalej p. de Moranes głosem pewniejszym. — Powinienem był opuścić Francję, Europę, pójść z wami dwojgiem tam do Ameryki, może byłoby to rozerwało Blankę... Ale nie, wspomnienie zostaje... W każdym razie łatwiej można było ją tym sposobem uleczyć. Może głupota moja, uczonego korespondenta akademji wstrzymała mnie. Moje kochane dzieci, drogo opłacacie moje dyplomy... Podobny dramat, jaki ci opowiem nie wstrząsa murami spokojnego domu bez śladu. Echo jego odgłosu, przebija mury. Spodziewałem się, że legenda w świecie urośnie, ale nie przepuszczałem, że zajdzie coś podobnego, jak z tym młodym człowiekiem któremu rodzina broni żenić się z córką szakala. Nie spodziewałem się podobnego odwetu ze strony pana de Somery, który cię zmusił do wyzwania go, mnie zaś zmusza do uczynienia tego pojedynku nieuniknionym; bo wreszcie nie mogę ci zabronić zabić, jeżeli potrafisz, człowieka, który ze mnie zrobił mordercę!

Powiedziałem, że pan de Moranes zaczął mówić z uśmiechem na ustach. Ten uśmiech trwał, ale ironiczny, złośliwy. Mimowolnie rysy się oziębiły, wyraz stał się cierpkim, bolesnym.

Na imię Somery Abel poruszył się, powstał. Skinienie ojca do krzesła go przykuło.

— A więc tak! — rzekł tenże spiesznie — był on kochankiem twojej matki!

Abel krzyknął ze wstydu i przerażenia. Zacisnął ręce gwałtownie, jak gdyby chciał zetrzeć z nich ciepło, które uścisk p. de Somery na nich zostawił.

— Chcesz prawdy — rzekł p. de Moranes z dzikiem współczuciem — masz ją. Nie mówię ci jej dla tego byś mnie żałował, ani żebyś pogardzał twą matką, ale chcę przez nią zrobić z ciebie człowieka dojrzałego. Nie wstydź się; cierp, szlochaj, wściekaj się wedle woli. Przejdź przez ten ogień, który mi wypalił rany niezagojone.

Abel czuł jaka boleść niezatarta, jaka czułość przebijała się w tych gorzkich ojca wyrazach. Uległ nagłemu współczuciu, ale nie okazał tego. Ojciec byłby się obraził.

P. de Moranes wyciągnął ręce w róg pokoju, gdzie stała szafa wielka i wskazał na przedmiot błyszczący, zczerniały, który był podobny do pnia garbatego, pokrytego warstwą smoły.

— Widzisz! mówią że to był jakiś pradziad Montezumy, rodzaj olbrzyma, który już stracił kształt postaci ludzkiej; może to także był uczony. Postawiłem tę mumią na przeciw siebie jak lustro, zazdroszczę jej, a ona mnie poucza. Wyschłem i pokrzywiłem się jak ona, ale powierzchowność ludzi. Gdy dojdzie mnie jakibądź zgiełk lub spadnie na mnie jakibądź promień — mogący mnie ożywić, pociągnąć i obudzić — radzę się tej mumji i powracam do milczenia do obumarcia, jakie mi nakazuje, przypominam sobie moje lata prawdziwe; nie mam lat pięćdziesiąt, ale pięćset, może dwa tysiące!

Owo porównanie niedoli, która go dławiła a której z nikim nie mógł podzielić, ulżyło p. de Moranes. Poprawił się, aby mówić wygodniej, nie usiadł jednakże, tylko oparł się obu rękoma o biurko i mówił dalej:

— Czy ci kiedy mówiłem o mych latach dziecięcych? Nie, wreszcie nie miałem dzieciństwa... Zdaje mi się że urodziłem się mając lat czterdzieści. O! to nie dla tego abym miał być przedwczesnym genjuszem, ale przeznaczenie, które mnie zrobiło sierotą, nie dało mi ani pieszczot rodzicielskich, ani owej wiosny życia, w której się żyje tylko na to, aby żyć! Przyniosło wam to nieszczęście moje dzieci. Nie mogłem sobie nic przypomnieć aby was pieścić, a moje usposobienie było niezdolnem wymyśleć lub nauczyć się tego, czego wspomnienie mnie nie nauczyło...

Natomiast dawałem wam wolność; pozwalałem używać powietrza, a tobie mój synu, jak tylko doszedłeś do lat w których mogłeś sam podróżować, otworzyłem niezmierzony horyzont!... Po śmierci ojca, który tylko o rok przeżył matkę, wziął mnie wuj, ów kanonik z Verdun, którego portret wisi w salonie.

Zdaje mi się że jego gospodyni bardzo się mną zajmowała, ale była starą i o ile sobie jej twarz przypominam, wyglądała więcej na mężczyznę, niż mój wuj — tak więc w całem życiu aż do mojego ożenienia nie ulegałem wpływowi żadnej kobiety... Wuj budził we mnie zamiłowanie do archeologji. On to wziąwszy mnie, że tak powiem, z kołyski, włożył w pudło od mumji i wzrokiem obojętnym zaciekawionym na chwilę owem zjawiskiem natury, które mu natura i rodzina powierzała, pytał mnie tak, jak pytają przy chrzcie św. nowonarodzonego. — Czem ty chcesz zostać, księdzem, czy uczonym? — Wuj byłby się tak samo zgodził na seminarium, jak na naukę. Los mój zawisł od jego dobrego humoru tego dnia. On jednak regularnie pełnił swoje obowiązki kapłańskie, tylko wysuszył swą wiarę poszukiwaniami i badaniami. Zanadto zajmował się hebrajszczyzną, aby zadowolnić się łaciną brewiarza. Wystawiam sobie, że nie trzeba było przyprzeć go do muru, aby go na jakiej herezji nie schwycić. Gderał na wszystkie religje, zostawiając swoją na uboczu. Nie tykał jej, ani pozwalał jej tykać z obawy, aby to nie popsuło może jego przyzwyczajeń.

Prałat de Moranes mieszkał w Verdun obok wielkiego seminarium. Wielki, wysoki dom, zaciemniony wewnątrz zbiorami, które go przepełniały, jeszcze był ocieniony na zewnątrz cieniem katedry. Gdy miałem użyć świeżego powietrza, prowadzono mnie do klasztoru,

który łączył kościół ze seminarjum, a gdy chciano mi pokazać cokolwiek słońca, prowadzono mnie do katedry, gdzie promienie igrały na szybach kolorowych nawy... Tam to prałat dał mi później pierwszą lekcją o malarstwie na szkle i pokazał wśród wielu innych rzeczy, czemu, według niego ta przejrzystość nieprzejrzysta — która jest sławą XII. wieku, polega na polewie, której sam tylko znał tajemnicę. Pewnego dnia nawet, gdy miałem lat dziesięć, zawiózł mnie do Froyes, li po to, abym tam podziwiał malowane okna katedry. Była to jedyna moja podróż dla rozrywki... Ja wysłałem cię dalej, w piękniejsze kraje. Wybacz, że zatrzymuję cię na tych latach dziecięcych, musisz przecie odżyć mojem życiem, aby wszystko zrozumieć. Zrobię się niedługo starym, gdy ci dzieje moich lat piećdziesięciu opowiem.

Pierwszy to raz i ostatni, że ci mówię o sobie. — Potem pójdziesz znów swoją drogą; jeżeli zechcesz mnie opuścić, opuścisz. Mówię to w zastosowaniu do twych studjów, trzeba zachować pewną metodę nawet w najtrudniejszem przesileniu. Dla tego, że zaskoczyło mnie to nagle, popełniłem czyn gwałtowny, którego sędzią będziesz. Zastanów się, aby mnie zrozumieć, poddam się twemu wyrokowi. Zresztą owe przewlekłe opowiadanie uspokoi nas. Będziemy mogli z zimną krwią zakończyć.

P. de Moranes przerwał, był już spokojny. Uczony badacz przygłuszył uczucia ojca spowiadającego się ze zbrodni przed synem. — Nie była to tylko owa wrodzona potęga. Ów człowiek rzeczywiście silny, który w swoich badaniach uderzał nieraz o estetykę, myślał zapewne, że zręcznie i po ludzku było przedłużać febrę syna opowiadaniem mogącem go zająć, mimo swej fatalności.

Ów pierwszy wyraz zadał ranę głęboką. Chciał aby się zabliźniła, więc ją zostawiał otwartą, odkrytą, aby pierwsza krew wpłynęła spokojnie. A potem, ów samotny pracownik, przyzwyczajony do układania pamiętników uczonych, przeładowanych uwagami i przypuszczeniami, nie znał sztuki wyznań serdecznych, wylania czułego; miewał połyski złości, ale nie był zdolnym do długiego oburzenia lub wzruszenia. Postępował sam z sobą jak z synem, jak z nauką, w każdym razie zadawał cios silny w miejsce, które badał a potem rozbierał szczegółowo dalej.

Źle by osądzono owego człowieka gwałtownego, zamkniętego od młodości w szrankach pedantyzmu, graniczącego z delikatnością uczucia i krwi, jeżeliby nie uniewinniono owego wstępu zręcznego i naiwnego do dalszego opowiadania.

Abel był przyzwyczajony do wywodów doktorskich ojca. Wiedział że nie można ich powstrzymać. Nadto był chciwym dowiedzieć się o wszystkiem, dla tego nie zabronił ojcu poruszać owych popiołów przeszłości. On także nabrał czy to ze krwi, czy przez walkę, dziedzicznie, czy przez posłuszeństwo coś z tego charakteru naukowego. Więc ten rodzaj opowiadania nie raził go. — Pozwolił mu odpocząć, spokojnie patrząc na ojca, jak uczeń lekcji słuchający.

P. de Moranes zadowolony tem, mówił dalej:

— Mój wuj miał, nie powiem przyjaciela, lecz towarzysza w studjach uczonych nad Mozelą, pana Thieblemont, równego orjentalistę, mniej bogatego, który korzystał z biblioteki i zbiorów kanonika, wywdzięczając się za to rozprawami, które ze sobą prowadzili. Łączyła ich sympatja, płynąca z dawniejszych zajęć, ale nie z charakteru, co sprawiło, że stali się nierozerwalnymi. Potrzeba im było sprzeczać się, obawiali się rozłączyć, aby nie dozwolić jeden drugiemu jakiego nowego odkrycia. Podali więc sobie ręce. Tak ich widziano raz po raz robiących wycieczki naukowe, powracających razem do katedry, nie rozłączających się ani na krok. Mój wuj, był jak ja małego wzrostu, krępy, czerwony, grubszy odemnie. Pan Thieblemont był wysoki, szczupły, blady. Dwaj przyjaciele stanowili kontrast, który tem bardziej ich łączył. Było to jedną spójnią więcej. Mały człowieczek podnosił się przy swoim wysmukłym towarzyszu; temu zaś zdawało się że nabierał coś z tuszy kanonika. Wuj był szybki, ożywiony, pojmujący wszystko z łatwością; pan Thieblemont myślał i mówił wolno. Gdy wychodzili razem, kanonik podnosił sutannę z przyzwyczajenia, bo nie lubił o nią zahaczać, pan Thieblemont nosił zwykle ubior długi, obszerny, jego surdut był podobny do skróconej sutanny kolegi...

Nie nadużywam twej cierpliwości, moje drogie dziecię opisem tych dwojga ludzi z których jeden był mi ojcem a drugi stał się mym teściem. Musisz ich poznać... Ja nie potrzebuję sobie ich przypominać. Obraz ich znikł mi przez niejaki czas z oczu, teraz znów wystąpił. Oni kierowali swemi kroki regularnemi młodość moją poświęconą nauce. Gdy tutaj wieczorem sam rozmyślam, zdaje mi się że ujrzę ich wychodzących z owego ciemnego kąta, zatrzymujących się przed tym tam posągiem, idących dalej, spojrzawszy na mnie z roztargnieniem, niewidzących mnie, ale powtarzających automatycznie: Janie, czy umiesz lekcją? Janie, czego tam szukasz po suficie? Pracuj, pracuj, przyjacielu! — Oni to byli moimi nauczycielami. Tego, czego nie umieli, albo czego mnie sami uczyć nie mogli, uczono mnie w ich obecności... Czy ich kochałem? Nie sądzę. Czy ich nienawidziłem? Nie wiem. Znosiłem ich a nie chcę na nich narzekać. Oni mnie wychowali w swym cieniu; wszystkiego mnie nauczyli... prócz życia rodzinnego... Pewnego dnia już nie byli ze mną. Ożeniłem się. Kanonik odszedł pierwszy. Pan Thieblemont w rok potem dogonił towarzysza. Jedyny to raz, że się pospieszył... Pan Thieblemont był dawnym radcą prefektury nad Mozelą. Wziął dymisją przed czasem, gdy został wdowcem. Tym sposobem mógł się lepiej oddać studjom. Przeniósł się do Verdun, miasta rodzinnego, aby żyć ze skromnych funduszów z córką jedynaczką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jałmużna.

NOWELLA.

I.

Wieczór dawno już zapadł. Niebo ciężkie, ołowiane, ni to całun szary, grobowy, wisi nad Paryżem. Wicher grudniowy przeciąga od czasu do czasu przez ulice dość wyludnione z takim hukiem i świstem, jakby prosto z czeluści piekielnych wychodził, i niósł ze sobą zgrzyt potępieńców, jęki męczonych, i śmiech dziki szatanów, który samemu Bóstwu śmie urągać.

Na jednej z przechodnich ulic, oddalonych od centrum miasta, stoi kamienica niepokaźna, a stara, bardzo stara, cała pleśnią Wieków okryta. Do niej tuli się jakby w murze chciała sobie kryjówkę wyżłobić, postać nędznemi łachmanami zaledwie okryta. Sukienka niegdyś czarna, dziś koloru niepewnego, między rudym, a brudno bronzowym, u dołu wystrzępiona, nosi na sobie tysiące cer, łat i zeszywań; nogi szmatami poobwijane, tkwią w czemś, co dawniej miało pretensję nazywać się trzewikiem, a dziś jest zaledwie szczątkiem starego, wydeptanego patynka. Szara, brudna płachta, podobna swoim smutnym kolorem do nieba ołowianego, na którem ani jedna gwiazdka nie migoce; zwiesza się od głowy zaczynając, na piersi i ramiona owej postaci tajemniczej. I ta płachta była może za lepszych czasów chustką, obecnie jednak na inną nazwę nie zasługuje.

Postać drży od zimna, a za każdym gwałtowniejszym wichru poświstem, ciaśniej płachtę na piersiach krzyżuje.

Przeszła koło niej jakaś czuła parka miłośnie do siebie przytulona. Ci, ani spostrzegli, że ktoś oprócz nich jest jeszcze na świecie. Miłość jest tak egoistyczną! Inni mijali ją obojętnie, bądź też pomrukiwali coś gniewnie o policji, która nie dość przestrzega, by żebracy nie naprzykrzali się spokojnym przechodniom na ulicy. Byli i tacy młodziki, którzy z wyuzdaną piosnką i cynicznym uśmiechem na ustach, przedwczesną rozpustą skalanych i wykrzywionych, rzucali okiem znawcy na postać tajemniczą, a przeczuwając motyla, pod szarą obsłoną gąsienicy, próbowali wsunąć ramię zuchwale po pod płachtę, by bliżej zbadać kształty pod nią ukryte. Tych śmiałków, rączka acz mała, lecz silna oburzeniem, odpychała gwałtownie od siebie; oni też szli dalej, rzucając jej w oczy śmiech szyderski i słowa drwiące:

— Peuh! co mi za księżniczka! Ależ moja panno Niedotykalska, jeżeli masz tak silne łaskotki, że cię nigdzie tknąć nie wolno, toć nie stawaj na rogu ulicy o siódmej godzinie wieczór. Miejsce djabelnie ślizgie, dla cnoty, tak jak twoja niewzruszonej.

Po takiej jednej i drugiej alokucji, nieznajoma łzy ukradkiem ocierała, czekała jednak dalej, niczem nie zrażona.

Wreszcie krokiem lekkim i elastycznym, nadszedł w to miejsce młodzian piękny, słuszny i smukły jak topola. Kapelusz à la *Van-Dyck;* płaszcz bandycki, z fantazją na ramiona zarzucony; cały ubior trochę oryginalny, zdradzały artystę, i to nawet specjalnie ucznia sztuki malarskiej. Uwagi jego mogły tylko utwierdzić w tem mniemaniu.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, a stanąwszy tak, żeby mógł widzieć, nie będąc widzianym, mruczał z cicha:

— Boski profil! Co za czystość linji, co za oprawa oka prześliczna! A te kosmyki włosów złotawych, które z pod brudnej płachty się wydobywają, istny kolor włosów Madonny. O! gdyby bydź Rafaelem, a mieć taką drugą Fornarynę!

Światło narożnego rewerberu, całą strugą oblało teraz postać nieznaną, a wicher uniósł cokolwiek płachtę z głowy, tak że można było doskonale rysy jej rozróżnić. Młodzian myślał dalej:

— Dobrze, że ją podziwiasz, ale ona biedna z pewnością nie po to marznie na ulicy. Ile tam mamy w kieszeni? — brzęknął pieniędzmi. — Ostatnie dwieście franków, ale samo złoto! Ha! zróbmyż tak, jak Pismo święte żąda, i oddajmy tej nieszczęśliwej istocie dziesiątą część naszego majątku.

Zbliżył się do nieznajomej i wcisnął jej w rękę dwudziesto-frankówkę, z temi serdecznemi słowy:

— Masz tu moje biedne dziecię, przyjm ten dar jak od brata. Oby ci te pieniądze przyniosły względne szczęście przynajmniej; ochroniły od głodu, i co gorsze jeszcze... od hańby! — dodał ciszej spiesznie się oddalając.

Piękna dziewczyna powiodła łzawym wzrokiem za nieznajomym, a usta jej drżące zdawały się szeptać słowa podzięki, czy też cichą modlitwę, by Bóg raczył oddać ten dług stokrotnie jej szlachetnemu dobroczyńcy; gdy w tem drgnęła przerażona. Tuż nad uchem, budząc ją z słodkiej zadumy, zabrzmiał głos suchy i ostry:

— Fe, wstydź się! Takaś młoda, a już cię nauczono stawać na ulicy, i wabić młodzików niedoświadczonych, gładkiem liczkiem i słodkim uśmiechem, by im następnie ostatni pieniądz wyciągnąć z kieszeni.

Dziewczyna zrazu struchlała, prędko jednak wróciła do przytomności. Wyprostowała się dumnie, a obrzucając nieznajomego pogardliwem spojrzeniem:

— Ktokolwiek pan jesteś, co cię upoważnia, do słów tak dla mnie obelżywych? — przemówiła głosem drżącym i łez pełnym. — Głód i nędza matki bez ratunku konającej, mogły mnie zmusić do tej rozpaczliwej ostateczności, by zakołatać do serc przechodniów, i stanąć po raz pierwszy w życiu, z dłonią wyciągniętą na ulicy. O! litość ludzi! zaśmiała się dziko — krucha

to podstawa. Kto na nią liczy, łatwo może z głodu umrzeć. Zanim jednak miałabym się zhańbić, frymarcząc moją osobą, i wabiąc — jak pan powiadasz — niedoświadczonych młodzików, raczej poszukam schronienia bezpiecznego na dnie Sekwany. To poczciwa rzeka. Ona i najbiedniejszemu łoża w swych nurtach nie odmawia. Walentyna Giraud mój panie, nie zapomni co winna swemu nazwisku, i pamięci ojca, który miał zaszczyt służyć pod wielkim Napoleonem. Ona musi czystą pozostać.

— Dziewczyno! pani! — nieznajomy kurczowo porwał ją za obiedwie ręce. — Coś ty wyrzekła? Byłażbyś istotnie córką pułkownika Giraud, przy drugim pułku kirasjerów, najpiękniejszego, a przytem najszlachetniejszego oficera wojsk francuzkich?

— Szczycę się tem, mój panie! — z dumą odrzuciła.

— Tak, to jego rysy — syczał przez zęby zaciśnięte nieznajomy. — Ten czysty grecki profil; te oczy niewidzianego koloru, ni to fiołek z bławatem zmięszany; wdzięk, podniesiony jeszcze do wyższej potęgi, przez wyraz dziewiczy tej anielskiej twarzyczki... Prowadź mnie pani do swojej matki.

Słowa nieznajomego były tak stanowcze, a postać chociaż sucha i sztywna, była jednak tak imponującą, że młoda dziewczyna, ani chwili się nie zawahała, tylko rozkaz wypełniła wyprzedzając i wskazując drogę nieznajomemu.

Przypatrzmy się bliżej tej nowej postaci.

Wiemy już że był wysoki i chudy. Włosy ryże i takież gęste faworyty, okrywały głowę i okalały twarz o profilu mocno ściętym, policzkach wystających, a oczach tak bladych, że ledwie w nich cokolwiek znać było kolor niebieski. Gdyby nawet nie był go przedtem zdradził akcent świszczący i nader nieprzyjemny, do syku węża podobny; samo wyglądanie byłoby w nim odkryło Anglika czystej krwi. W milczeniu drapali się po wschodach, coraz gorszych i wąższych, póki się na poddasze nie dostali.

Tu uderzył ich obraz nędzy niewypowiedzianej.

Na trochę słomy zaledwie okrytej nibyto prześcieradłem, leżała kobieta chorobą wycieńczona. Musiała i ona być piękną niegdyś, choć w innym niż córka rodzaju. Oczy czarne wyzierały z dwóch jam głębokich, płonąc ogniem nienaturalnym, gorączkowym; ni to dwie świece w czaszce trupiej zapalone. Twarz przed czasem zżółkła i pomarszczona, kośćmi suchemi świeciła, usta były sine i od bolu kurczowo wykrzywione.

— Kto z tobą przyszedł? — spytała córki usłyszawszy wśród ciemności obce kroki.

— Jakiś pan, który zdaje się iż znał ojca mojego.

— Za późno przypomniał go sobie! — chora gorzko odrzuciła, głosem głuchym, bez dźwięku, który zdradzał straszną próżnię w jej piersiach.

— Przynieś pani światła — szepnął Anglik, wtykając coś w rękę dziewczynie. Blask z ulicy tak słabo izdebkę oświetla.

— Wrócę natychmiast matko — zapewniła młoda dziewczyna, i spiesznie na dół zbiegła po świecę.

— Niesłusznie mnie pani oskarzasz, — tłumaczył się nieznajomy, mimo flegmy angielskiej drząc od wzruszenia. — Szukałem was wytrwale, Bóg mi świadkiem! władze jednak bez wyjątku dopomódz mi w niczem nie chciały, a moi ajenci także nie byli w znalezieniu was szczęśliwsi.

W tej chwili wróciła ze świecą zapaloną Walentyna. Chora dźwignęła się w górę wpatrując się bystro w nieznajomego.

— Byłem *Cadet de famille* — mówił Anglik dalej — służyłem w dragonach królowej. Podczas sławnej szarży pod Waterloo, mąż pani wyrwał mnie z narażeniem życia własnego z rąk rozjuszonych żołdaków, którzy chcieli rozsiekać leżącego na ziemi i dość lekko rannego. Wieczną wdzięczność mu poprzysiągłem. Dałem najdokładniejszy adres wszystkich naszych majątków, błagając gorąco, by w razie potrzeby zgłosił się do mnie, dlaczegoż tego nie raczył uczynić?

— Boś pan Anglikiem — chora namiętnie mu przerwała — boś członkiem tego narodu nikczemnego, który jego Cesarza, jego Bożyszcze, przykuł do nagiej skały, jak drugiego Prometeusza, i postawił na straży sępa dzikiego, rozżartego, by męczennikowi po kawałku serce z łona wydzierał! O! mój szlachetny Raul, wolał umrzeć z ran i głodu, niż zawdzięczać cokolwiek nienawistnemu Anglikowi!

Wysilona, z kaszlem piersi rozdzierającym, upadła na wznak nazad.

Córka struchlała, złożyła ręce jak do modlitwy, Anglik pobladł, jednak z wytrwałością i uporem znamionującym synów Albionu, nie dał za wygranę, tylko prowadził rzecz dalej z całym spokojem.

— Walki dynastyczne, są zawsze wielką klęską dla ludów, a za rozporządzenia państwowe naród także odpowiadać nie może. Houdson Loowe jest tak samo wstrętny dobrze myślącym Anglikom, jak nienawistny tym Francuzom, którzy, jak mąż pani, uwielbiają Napoleona. Pani, jako kobieta i matka, nie będziesz przecie równie nieubłaganą i przyjmiesz pomoc Anglika. Nieszczęsny przypadek na polowaniu, zabił przedwcześnie mego brata najstarszego. Ja odziedziczyłem po nim tytuł i nazwisko lorda Derby. Dobra rozległe muszą wrócić do rodziny, lecz olbrzymie kapitały do mnie należą, gdyż własną oszczędnością je zebrałem. Pozwól użyć ich pani, na zapewnienie losu twojej córce, i tobie.

— Jam, lampa gasnąca — uśmiechnęła się gorzko. — Łzy przedwcześnie źródło życia wypiły, a nędza reszty dokonała. Córką zaś moją jakim tytułem chcesz się pan opiekować? — żywo spytała.

— Tytułem jej męża — odrzekł z godnością. —

Wiem że taki mąż, to nie ów ideał, o którym lubią marzyć młode serduszka — smutno dorzucił — na to ci jednak przysięgam pani, że postawię twoją córkę tak wysoko, iż cały świat ją uwielbi i hołdem jak królowę otoczy.

— O panie! — jęknęło dziewcze — przyjmuję, z wdzięcznością przyjmuję, i ja ci nawzajem przysięgam, iż będę ci najwierniejszą... choćby sługą — cicho dodała, — byleś mi matkę uratował!

I nim się spostrzegł, usta jej drgające rękę jego ucałowały, a jednocześnie dwie grube łzy uczuł na swojej dłoni.

Jeżeli gdzie, to w Paryżu, pieniądze cudów dokazują.

Za dwie godziny niespełna, pani Giraud pod przewodnictwem sławnego lekarza przenosiła się do ślicznego jak cacko mieszkanka. Obiedwie były zaopatrzone w najcieńszą bieliznę, w pościel najwytworniejszą; otoczone atmosferą wonną i cieplutką; liczna służba dobrze wyćwiczona, czekała w przedpokoju i garderobie na ich skinienie, jadło wyborne siły wątłe wzmacniało.

Lord Derby w kilka dni ułatwił i usunął wszelkie przeszkody. Wzięli ślub w obecności całej ambasady angielskiej, tak przed Merem, jak również w kościele, gdyż i lord był katolikiem.

Małżonkowie, za poradą i w towarzystwie owego lekarza specjalisty, udali się do Włoch, by ulżyć cokolwiek wyschniętym piersiom pani Giraud, dla której osobny powóz z łóżkiem na kółkach wsuwanem sporządzono.

Oglądnijmy się tymczasem, co porabia nasz przyszły Rafael.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z TYPÓW I OBRAZKÓW WIEJSKICH.

PRZEZ JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

I. GOSPODARZ POSTĘPOWY.

Pomimo całego ruchu na polu literatury rolniczej, pomimo interesowania się nowo dokonywanemi odkryciami i coraz szerszego ich zastosowania w gospodarstwie, agronom postępowy jest jeszcze niestety jakąś anomalją, jednostką, która nie zyskała dotychczas u nas zasłużonego uznania...

Na stu gospodarzy zacofanych, zaledwie kilku naliczysz prawdziwie postępowych i ci ostatni są zazwyczaj przedmiotem szyderstwa tamtych.

„Gospodarz postępowy!“ wyraz ten wymawiany bywa przez masy z jakimś nieokreślonym odcieniem ironji i politowania.

A przecież jestto człowiek nauki i każdy z owych szyderców ma dlań pomimowoli szacunek i okazuje mu go w oczy.

Czem więc się to dzieje? zkąd to politowanie, którego jest przedmiotem?

Dla tej nauki właśnie, będącej po prostu zawadą do osiągnięcia ostatecznego celu gospodarstwa, t. j. zysku materjalnego, do czego potrzeba u nas tylko, jak dotychczas, praktyczności; bo gdyby z tego, co nam się dotykalnie przedstawia jako rezultat, chcieć wyprowadzić definicję, co jest gospodarz postępowy a co zacofany, wypadałoby, że ten ostatni robi majątek, pierwszy zaś trwoni go.

Na nieszczęście tak się dzieje, ale dlaczego?

Agronomja jest nauką tak dobrze jak każda inna, a nawet zawilszą od wielu innych, wyniki jej zależne są od tysiącznych, do dziś niezbadanych wpływów fizjologicznych.

Coraz nowe odkrycia dopełniają lub zbijają dawniejsze; wczoraj stanowczy głos miał Liebig, dziś Ville, jutro wystąpi ktoś inny, z nową zdobyczą na polu badań...

Więc agronom postępowy musi być Liebigiem i Villem na małą skalę i pracować dla dobra powszechnego, a czy od takiego człowieka podobna żądać, aby samolubnie pamiętał o sobie, gdy on ostatni grosz gotów poświęcić na doświadczenie, mające przynieść korzyść ogółowi.

Jest więc męczennikiem nauki i jako męczennika, ogół szanuje go pomimowoli, co nie przeszkadza, że nie myśli go wcale naśladować, a nawet drwi zeń za oczy.

— Czytałeś artykuł X-a o kredycie? — pyta się pan A. pana B.

— Rzecz dziwna, że ten co radzi innym, nie umie poradzić sam sobie — mówi pierwszy — i tyle musi ponieść trudów, nim dostanie zkąd glupie tysiąc rubli...

— Co chcesz! romanse, książeczki, artykuliki — odpowiada drugi — jeden lubi to, drugi owo; ha! jak sobie kto pościele, tak się wyspi!

I pan B. nie chce wcale zrozumieć, że X. ścieląc myśli o pożytku ogółu, zapomina o sobie.

Albo inna rozmowa:

— Czy wiesz, że Z. wypalił znowu jakiś artykuł o polepszeniu bytu klasy roboczej.

— Ha, ha, ha, warjat! żeby lepiej o sobie myślał; niedługo może ze wsi go wypędzą.

— Biada z tymi ciężko uczonymi.

I tak jest, niestety! większa część postępowych biedę klepie, są wprawdzie przykłady, że zamożność idzie w parze z inicjatywą naukową, ale nieszczęściem stosunek tu jest taki sam podobno, jak wsród literatów i w ogóle ludzi pod jakimkolwiek względem naukowych...

Bo zamożne, i tak zwane wzorowe gospodarstwa, nie koniecznie są już postępowemi; u większości ta wzorowość zasadza się na porządku wprawdzie i logicznem prowadzeniu rzeczy, ale to niema nic wspólnego z naukowym postępem.

Są to poprostu robigrosze.

Jedna jeszcze okoliczność różni postępowego od zacofanego.

Pierwszy zazwyczaj jest optymistą, czego drugi znieść nie może, bo gospodarze nasi są z zasady pesymistami, każdy z nich narzekać musi, bo jakże tu nie narzekać, gdy wszelkie niepowodzenie gospodarskie, nawalnica, posucha, nieurodzaj jakiego ziarna, trudność najmu i t. d. jest klęską dla kieszeni.

Optymista powie, że to są wypadki bardzo przewidziane; z powodu których zawczasu na utratę pewnego procentu z dochodu trzeba być przygotowanym, pesymista wie także o tem bardzo dobrze i posiada niewątpliwie w kieszeni skuteczniejsze niż tamten lekarstwo, ale narzekać jest jego świętym obowiązkiem.

Postępowemu, straty podobne osładza każda zdobycz na polu doświadczeń, drugiemu nic nie nagrodzi ubytku jednego papierka sturublowego, bo ten jest ostatecznym celem jego zabiegów.

Więc gospodarz postępowy jest ochotnikiem w swoim zawodzie, straconą forpocztą, nie szczędzącą siebie i poświęcającą się z dobrej woli, byle tylko główna armja odniosła ostateczne zwycięztwo.

Ale nie wiele kto dotychczas u nas zrozumieć i ocenić to potrafi...

II. GOSPODARZ PARTACZ.

Zarozumiałość i upór, oto główne cechy gospodarza partacza...

W innych zawodach, wśród rzemieślników i wyrobników wszelkiego rodzaju, są partacze z samowiedzą swojego partactwa, pracujący z konieczności na kawałek chleba, pomimo poczucia swojej nieudolności.

Ale największy z partaczów gospodarz wiejski jest amatorem w swoim fachu, traktuje go *con amore* i nikt nie byłby w stanie przekonać go, że obrawszy ten zawód, porwał się na rzeczy o których nie miał wyobrażenia.

Posłuchajcie go tylko mówiącego: myślelibyście, że to agronom całą gębą; on zjadł wszystkie rozumy, wszystkiego próbował, a czego nie próbował, to przeczuwa intuicyjnie, słowem, wie co robi...

W towarzystwie jest krzykałą, nie da nikomu przyjść do słowa, bo czując instynktowo, że zasługuje na niejeden zarzut, stara się każdy uprzedzić, więc się kręci i szasta, rozprawia i argumentuje; przy stole nie zje uczciwie zupy, nie dopije kieliszka wina, a cygaro zapala po kilkanaście razy, nie czując nawet, że je powalał w stearynie...

Jako zarozumiały i zbyt zaufany w sobie, rozpoczynając zawód, do którego jakoby jest powołany, z odwagą rzuca się, jak to mówią, z motyką na słońce; mając np. trzydzieści tysięcy gotówki, kupuje dobra za sto tysięcy, będąc najmocniej przekonanym, że dług, wynoszący siedmdziesiąt tysięcy, spłaci w kilka lat *śpiewający*; tego ćwieka nikt mu z głowy nie wyjmie.

Tymczasem, zaledwie wziął ten ciężar na swoje barki, już widzi się zmuszonym uścisnąć dłoń i „pocałować w brodę“ (uświęcone wyrażenie) Szmula albo Judkę, a gdy tego aktu braterstwa dopełni, już jego zguba zapisana w księdze przeznaczeń i dłuższe lub krótsze konanie zależy już tylko od ubocznych okoliczności...

Ale partacz ani myśli tego przeczuwać, zaczyna wikłać się w coraz to monstrualniejsze rachunki, liczyć na coraz nieprawdopodobniejsze rezultaty, i cała jego karjera gospodarska jest powolnem przygotowaniem do ostatecznej ruiny.

Jestto męczennik nie mający spokojnego dnia i nocy, z uporem i wytrwałością godną lepszej sprawy znoszący to dobrowolne zaiste męczeństwo.

Dobrowolne, gdyż na innem stanowisku byłby może w swojem miejscu, a chociażby nawet nie miał do inszego zdolności i powołania, to z samego procentu od kapitału, który poświęcił na ofiarę niedołężnego gospodarstwa, mógłby żyć przyzwoicie.

Ale gadaj mu o tem! on swój zawód uważa za jakąś misję, którą spełnić jest świętym jego obowiązkiem.

I spełnia ją.

W pierwszych początkach gospodaruje zawzięcie, robiąc ogromne błędy i fałszywe wyrachowania, ale które jeszcze zbyt dotkliwie nie dają mu się weznaki.

Po kilku latach, gdy „pocałowania brody“ coraz mniejsze wrażenie robią na Szmulach i Judkach, zaczyna się otaczać rządcami i innymi oficjalistami kaucjonowanymi.

Skoro mu się trafi podobne indywidum, nie pyta o inne kwalifikacje i świadectwa, jak tylko ile może dać kaucji, w razie zaś gdy zmuszony jest koniecznością wypowiedzieć służbę któremu z tych ichmościów, nie będąc w stanie zwrócić wziętej sumy, daje mu zazwyczaj mieszkanie we wsi i kawał gruntu, naturalnie za bezcen, do tego stopnia, że często brakuje izb dla ludzi roboczych i pół wsi zajmują tacy kapitaliści, istna plaga, bo dla nich najlepsza ziemia pod ziemniaki i jęczmień, im najpierw uprawia się rola, im pierwszym zwozi się z pola po sprzęcie, gdy fornale i parobcy dostają ogrody na jałowiznach i nie mogą się doprosić pługa do sadzenia ziemniaków.

Wreszcie stan gospodarstwa dochodzi do tego, że partacz zazwyczaj w drugiej połowie zimy zaczyna sprzedawać resztki zboża zostawione na gruntowe potrzeby, przez co na przednowku bieda i głód, w ostatnim kwartale przed żniwami służącym wydaje się tylko pół ordynarji, do siewu kupuje się wszystek owies naturalnie na kredyt, a dla koni na obroki otręby póki można dostać, a jak nie, to przez całe lato fornalki pasą się nocą na trawie.

Nakoniec nadchodzą żniwa... błogosławiona chwila... o! wtenczas „kiedy jest, to szelest!“ od samego ich początku, chociaż ziarno jeszcze miękkie, młocarnia bębni dzień w dzień bez odpoczynku, rozlegając się echem po okolicznych wioskach, jaki taki usłyszawszy ten turkot, uśmiechnie się i rzeknie: „a to ten partacz młóci!“ bo w tym odgłosie znać jakoś mimowoli, że tu pilno, że tu potrzeba gwałtowna i na życie i do siewu i na sprzedaż...

Gospodarz partacz ma przyzwyczajenia i nałogi, które pochłaniają go i są po części powodem jego partactwa.

I tak, jest gospodarz myśliwy, który wypasa psy zamiast inwentarza, cały boży dzień włóczy się ze strzelbą, albo jeździ z chartami; znałem jednego z takich, który jesienią jak mógł zwlóczył z uprawą roli, dozwalając orce się zrastać, a to dla tego, że w takich miejscach *kot* lubi się trzymać.

Jest gospodarz koniarz; ten ciągle facjenduje, zmienia fornalki i cugi, i wiecznie ma szkapy najgorsze w świecie.

Ileż to razy w chwilach, gdy chciałby najefektowniej zaprezentować nowo-nabytą czwórkę, ni ztąd ni zowąd który z koni zacznie kuleć, albo klacz narowista niewłaściwie zaprzężona w przodach, cofaniem się fikaniem narobi bigosu, poplącze cały zaprząg, złamie dyszel i t. p.; nazajutrz konie wracają do Jankla, w zamian za inne z mniejszemi wadami, a za dobrą dopłatą.

Jest także gospodarz, jakby tu nazwać, *partyjkowicz*, włóczący się po kompanijkach i lubiący pasjami taroka albo wista; gra tanio i nie zgrywa się, często nawet wygra, ale co czasu zmarnuje i poniesie straty przez niedozór, to nie wchodzi w rachunek.

Jeden z moich znajomych, mieszkający tuż blisko miasteczka i stacji kolei, tam prawie ciągle czas spędza, a gdy mu robi kto z tego zarzut, utrzymuje, że to najlepszy sposób kontrolowania ludzi, gdyż nie wiedzą nigdy na pewno kiedy pan powróci, zawsze są czynni i na nogach.

Zresztą u takiego gospodarza wszystko po partacku; budynki, jeżeli się nie walą, to z pewnością świecą dziurami w dachach, deszcz zacieka do stodół i zboże rośnie w sąsiekach, na przednowku niema co słać pod inwentarz, który brodzi w kałużach gnoju, a w zimie dzwoni zębami, gdyż obór i owczarni niema nigdy czasu opatrzyć...

Słowem gospodarz partacz biedę klepie przez całe życie, a koniec jego niezmiennie jednakowy: gospodarstwo stopniowo się rozprzęga, z dziedzictwa idzie na dzierżawę, z dzierżawy na bruk; ztamtąd, ten który zdobędzie się na energję, idzie w jaki obowiązek, często na rządcę majątku i zdarza się nawet, o dziwo! że nauczony doświadczeniem i nie skrępowany interesami, gospodaruje daleko lepiej niż na swojem własnem.

Ale większość, niestety! upada.

Z tego to zastępu rekrutuje się legjon pasożytów, istna plaga pod postacią rezydentów, albo kwestarzy, że nie powiem żebraków nawiedzających perjodycznie znane sobie domy, lub rozpisujących, do nich wzruszające listy, na których podpisują się „podupadły obywatel wiejski.“

Wszyscy oni pozują na ofiary losu i niby aureolą otaczają się wspomnieniami dawnego stanowiska, z tego jeszcze źródła starając się czerpać środki utrzymania się i z góry patrząc na pracowników niższej wedle swojego widzenia rzeczy, hierarchji społecznej.

A więc zawsze upór i zarozumienie!

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.